

ALICE BASSO

PORACHUNKI

BEZIMIENNEJ

PISARKI

W literaturze
i malarstwie
czujemy doznania!



ALICE BASSO



TYTUŁ ORYGINAŁU:
L'imprevedibile piano della scrittrice senza nome

Przełożył: Tomasz Kwiecień
Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczynie: Agata Garbowska
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania
Korekta: Bożena Sęk
Projekt i grafika na okładce: Krzysztof Rychter
DTP: Maciej Grycz

L'imprevedibile piano della scrittrice senza nome © 2015 by Alice Basso, Published
by arrangement with The Italian Literary Agency and Graal Literary Agency.

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiecte Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzednie-
go uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2021
ISBN 978-83-66815-95-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiecte
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

1

PISZ O TYM, NA CZYM SIĘ ZNASZ

Wielu ludzi uwielbia zapach papieru.

Niektórzy wręcz za nim szaleją. Kiedy kupują książkę, przyciskają ją do nosa i mocno się zaciągają, zamykając przy tym oczy. Czasami aż pomrukują z zadowolenia. Gdy wchodzi do biblioteki, nabierają powietrza głęboko w płuca, jakby byli w wysokich górach, następnie wyciągają jakiś stary tom z najbliższej półki i zanurzają w nim twarz z ewidentnym zamiarem złożenia na nim pocałunku.

A przecież woń papieru to nic innego jak zapach śmierci. I nie chodzi mi o chemiczny smród nowych książek, które trącą befsztykiem sojowym. Stare książki, właśnie one, te o niepowtarzalnym zapachu, w istocie pachną rozkładającą się celulozą. Innymi słowy, zgnilizną. A więc są ludzie, którzy szaleją na punkcie odoru zgnilizny i śmierci i nawet o tym nie wiedzą. A ja wiem, ponieważ w 2012 roku musiałam napisać tekst, który zawierał pojęcia z zakresu sztuki typograficznej, i naczytałam się sporo o tych rzeczach. Od

tamtej pory gabinet Enrica Fuschiego, świątynia woni papieru, wzbudza we mnie niedookreślone obrzydzenie.

Gabinet Enrica Fuschiego, dyrektora wydawniczego liczącego sobie bez mała dwieście lat Wydawnictwa Erica, a co za tym idzie również mojego szefa, znajduje się na trzecim piętrze zabytkowego budynku w samym sercu Turynu, w jednym z tych niesławnych miejsc, gdzie nigdy nie uda ci się zaparkować samochodu, a obok bram schowanych pod arkadami widnieją mosiężne tabliczki domofonów, na których mało jest nazwisk, a wiele cyfr. Gabinet nie jest wielki, ale to głównie dlatego, że same półki, drewniane, sięgające sufitu i zapchane pierwszymi wydaniem książek (stąd zapach), zajmują powierzchnię równą metrażowi mojego mieszkania. Ma lastrykową posadzkę, kilka stylowych mebli i stolarkę okienną z ciemnego drewna. Jest stary. Trąci starością. Co oznacza, że doskonale się sprawdza jako gabinet szefa jednej z najstarszych i uznanych grup wydawniczych we Włoszech. Niech zaufane drukarnie mają swój imponujący park maszynowy i nowoczesne oprogramowanie do składu i obróbki zdjęć; niech magazyny hurtowników mają swój chłód neonów i hangarów, niech *open space* sekretariatu – po wyjściu z przedsionka pierwsze drzwi na prawo – ma swój zastęp dwudziestosiedmioletnich monitorów marki Apple i ergonomiczne fotele. Tu jest gabinet dyrektora wydawniczego i nie ma nic złego w utrzymywaniu go w niezmiennym stanie przez dwieście lat – z wyjątkiem uczynionym dla laptopa otwartego na drewnianym biurku i dwóch smartfonów spoczywających na stosie dodruków.

Drzwi otwierają się ze skrzypieniem, które mogą wydawać tylko drzwi takie same od dwustu lat, i wchodzi facet koło pięćdziesiątki, wysoki i suchy, ale o gruszkowatej figurze,

ubrany w marynarkę, pod krawatem oraz z grubymi okularami w prostokątnych oprawkach. Mogły zostać zakupione w latach siedemdziesiątych i od tamtego czasu nigdy się nie zmienić albo też przedwczoraj, zgodnie z dominującą modą vintage, która właśnie wznawia i agresywnie reklamuje takie oprawki. Nienawidzę mody vintage. Zakłóca mi proces dedukcji. Teraz na przykład nie wiem, czy patrzę na zaniedbanego intelektualistę żyjącego w oderwaniu od świata czy na próżnego pizdusia przechodzącego kryzys wieku średniego.

Mężczyzna maszeruje w kierunku biurka, zza którego w tym samym czasie wyłania się Enrico Fuschi, wychodząc mu naprzeciw. Enrico jest łysawy i niski. Sięga mężczyźnie do dolnej wargi. Podają sobie ręce.

– *Dottor Mantegna*, jak miło pana widzieć – mówi mój szef.

– Dzień dobry, *dottor Fuschi*. Przyniosłem panu drobny prezent. – Wręcza Enricowi blaszaną niebiesko-srebrną tubę. Sposób, w jaki obaj się z nią obchodzą, sugeruje, że albo jest bardzo ciężka, albo zawiera Dzieciątka Jezus we własnej osobie. – *Bruichladdich*, szesnastoletnia. Jeśli lubi pan szkocką, to mogę ją z pełnym przekonaniem polecić, moja ulubiona. Nieważne, jak minął dzień, łyeczka wieczorem nikt mi nie odbierze.

Dylemat rozwiązany. Próżny pizduś.

– Proszę siadać, *dottore*. – Enrico stawia blaszaną tubę na biurku, zrobiwszy jej miejsce między dwoma stosami wydań kieszonkowych. – No to jak? Cieszy się pan?

– Na wywiad? Ależ tak, cóż mam powiedzieć – odpowiada Mantegna i rozkłada ramiona jak ksiądz, kiedy zachęca wiernych do wytrwałego znoszenia przeciwności. – Damy radę.

Enrico wydaje z siebie specyficzny rechocik, w który zwykle wpada, gdy nie jest mu wcale do śmiechu.

– No coś takiego! My panu załatwiamy wywiad dla *Co za czasy* w sobotni wieczór, a pan nie okazuje entuzjazmu? Powinien pan skakać z radości.

– Ależ oczywiście – poprawia się prędko Mantegna. – Wiem, że to wspaniała rzecz. Tylko, cóż, jestem człowiekiem kultury, akademii, laboratorium. To błaznowanie, ta cała telewizja... to nie całkiem w moim stylu, rozumie pan.

Oczywiście. Właściwie to typowe dla neurochirurga, który nie lubi błaznowania jak telewizyjni celebryci, by zdecydować się na napisanie – nie, lepiej: zlecić komuś napisanie – książki popularyzatorskiej zatytułowanej *Nie przeznaczono wam żyć jak zwierzęta. To, co najlepsze w człowieku, wyjaśnione za pomocą biologii*, w której wielki luminarz, nie tracąc czasu na dodanie czegokolwiek oryginalnego, a tylko sklejjąc ze sobą fragmenty prac innych autorów, podejmuje się wykazania, iż empatia, wielkoduszność, współpraca i tak dalej są impulsami biologicznie możliwymi do zidentyfikowania w specyficznych działaniach aparatu neuronowego. Niezły temat w gruncie rzeczy. A przede wszystkim bardzo modny. Rodzaj erudycyjnego, ale przyjaźnie napisanego eseju, który doskonale nadaje się na prezent bożonarodzeniowy dla przyjaciół oglądających w telewizji programy kulturalne. Lub na to, by załatwić sobie zaproszenie w charakterze gościa do takiegoż właśnie programu kulturalnego.

Enrico udaje, że nie pomyślał o tym samym.

– Cóż, nie ma nic złego w byciu popularnym – uśmiecha się.

– Konieczność przede wszystkim – wzdycha Mantegna, jakby mu było przykro. – Czasami trzeba się poddać wymogom mass mediów, bo bywa, że to jedyny sposób na zdobycie uwagi władz i uzyskanie funduszy. Jak to mówią w filmach? Brudna robota, ale ktoś musi ją wykonać.

Enrico powtórnie wpada w ten swój fałszywy rechocik i postanawia zmienić temat.

– Otrzymał już pan pytania? Co pan o nich sądzi?

– Cóż – krzywi się Mantegna – miałem nadzieję na coś bardziej naukowego, ale nie można oczekiwać, że prowadzący będzie chciał wiedzieć... no nie wiem, jak i dlaczego tradycyjne katalogowanie obszarów mózgu według Brodmana powinno zostać zaktualizowane... albo jaka jest różnica w reakcji na bodźce wzrokowo-ruchowe pomiędzy zwykłymi neuronami a neuronami lustrzanymi. Z drugiej strony poziom kulturowy w *Co za czasy* nie jest tak niski jak w wielu innych talk-show, więc nie mogę narzekać.

– Dziwne, bo wygląda na to, że jednak pan może – mówię i w tym momencie dzieje się coś dziwnego: Mantegna, który do tej pory w ogóle nie zauważał mojej obecności, wykonuje swego rodzaju podskok w miejscu, nie odrywając jednak kości ogonowej od siedzenia, jak jedna z tych lalek na sprężynce, co to wyskakują z pudełka po naciśnięciu guzika. Nagle obraca się w kierunku, z którego dobiegł mój głos, czyli kąta pomieszczenia między drzwiami a regałem. Stoї tam fotelik tapicerowany zielonym aksamitem, a w tymże foteliku tapicerowanym zielonym aksamitem, z chwyconą przypadkowo starą i śmierzącą książką w dłoni, siedzę ja.

– Och! Nie zauważyłem pani! – woła Pan Mądraliński. – Od dawna tu pani jest?

Enrico wstrzymuje oddech. Wiem, że bał się tej chwili od momentu, w którym uzgodniliśmy, że musimy się spotkać. Boi się, że narobię mu wstydu, i nie potrafię go za to winić.

– *Dottor* Mantegna, mam zaszczyt przedstawić panu naszą Vani, to znaczy, ekhm, to jest właśnie *dottor*essa Silvana Sarca.

Mantegna waha się przez chwilę. Widać, że dręczy go oczywisty dylemat. Nie wie, czy ma teraz wstać i uścisnąć mi rękę (dwa dobre powody: po pierwsze, jestem kobietą i tak byłoby grzecznie; po drugie, napisałam książkę, którą następnie on podpisał własnym nazwiskiem i dzięki której jego kariera dostała skrzydeł) czy też siedzieć dalej i czekać, żebym to ja wstała (jeden dobry powód: on jest gwiazdą, a ja jestem zwyczajną pracownicą wydawnictwa, a nawet jedną z tych mniej popularnych, o których woli się nie wspominać).

W końcu decyduje się pozostać w fotelu.

Ja także.

– A więc to jest słynna *signorina* Sarca, której wszystko zawdzięczam – komentuje luminarz przesadnie żartobliwym tonem. Odnotowałam tę „signorinę” zamiast „dottoressy”. Mogłabym się obrazić, gdybym nie miała tego głęboko gdzieś.

– Proszę, proszę... Taka młoda... – Uśmiecha się, patrząc na Enrica, jakby mówił o swoim psie. Nie jestem znów taka młoda. Mam trzydzieści cztery lata. Ale wyglądam na dwadzieścia cztery. W teorii coś wspaniałego, lecz akurat w pracy młody wygląd to straszna upierdliwość, bo ludzie nie mają ochoty traktować cię poważnie. Na przykład tak jak teraz.

– He, he... No proszę – kontynuuje Mantegna – pomyślcie tylko, co by było, gdyby ludzie wiedzieli, że książka neurochirurga z trzydziestoletnim doświadczeniem przeszła przez ręce, hm... takiej młodej dziewczyny.

Mówi „przeszła przez ręce”, ale umysły wszystkich trojga obecnych, nie wyłączając jego samego, natychmiast tłumaczą to na: „została przez nią napisana”. Bo tak właśnie było. On miał pomysł na temat. W kilku mglistych mailach – to nie przypadek, że po raz pierwszy widzi moją twarz – podał



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059